Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 42. Poznań dnia 14. Stycznia. 1839.

Literatura zagraniczna.

Żurnale większe francuzkie i Revues.*)

Większa część francuzkiéj publiczności nie czyta innéj książki prócz Żurnali i Revues, ztąd pisma czasowe, zwłaszcza polityczne, wielką we Francyi grają rolę. Ich liczba powiększa się codzień, i w żadnéj przemysłowéj gałęzi nie masz tyle konkurrencyi, ile w dziennikarstwie. Same atoli przemysłowe względy do ugruntowania czasopisma nie byłyby dostateczne. Każde pismo musi koniecznie być reprezentantem nowéj jakiéj idei, mieć jaki właściwy sobie kolor i cel, do którego zmierza. Idee takowe czyli zasady powstają we Francyi nieznacznie, zyskują coraz więcéj zwolenników między oświeceńszą klassą ludu, a następnie potrzebują organu, aby się tém silniéj między massą rozwinąć mogły. Niezmierna kaucya, jaką każdy nowy dziennik złożyć musi, ogromne koszta druku i honorarya, wymagają znacznych kapitałów; tak więc polityczna owa lub naukowa idea musi się zaraz przy wstępie na finansową zamienić. Jeżeli już jest znacznie między ludem ugruntowaną, jeżeli redaktorowie są ludzie popularni i znakomici, nie trudno o akcyonaryuszów. Wszakże same imiona, choćby i najświetniejsze, nie zdołają utrzymać pisma, jeżeli pierwsze zaraz numera nie odpowiedziały oczekiwaniu swéj partyi, lub jeżeli zewnętrzne wyposażenie nie zaspokoiło smaku publiczności.

Pod względem stylu polityczne Żurnale są godne podziwienia. Prostota, jasność, wdzięk i moc, osobliwie w artykułach, na opinią powszechną wpływać mających, w całym blasku jaśnieją. Rzecz sama jeszcze nie jest wystarczająca, jeżeli nie jest oddana w formie, najostrzejszą krytykę wytrzymać mogącéj. Nie można się wydziwić zręczności i biegłości redaktorów, zwłaszcza, że takie artykuły ledwo co wylane na papier w powietrzu, że tak rzekę, wychodzą z druku, tak dalece, że je za prawdziwe improwizacye uważać można. Częstokroć wiele na tem zależy, aby nieprzewidziana jaka okoliczność kilka godzin przed wyjściem pisma wydarzona, natychmiast w tym numerze, publiczności, najbardziéj czasowych artykułów ciekawéj, wyjaśnioną i rozebraną była; pospiech więc w takim razie największą jest zaletą pisma. Wtenczas to właśnie najwięcéj podziwiać należy bystrość redaktora w pojmowaniu rzeczy i mistrzowskie jéj wykonanie; dla tego też takie artykuły z szczególniejszym czytają się interesem.

Ponieważ różnorodne interesa, za któremi rozliczne pisma obstają, tysiącznie się w życiu społecznem krzyżują; ztąd wypada, że i dzienniki na polu publicznéj opinii codziennie ścierać się muszą. Tu się najlepiéj okazuje otwartość i dowcip francuzkiego ludu, ale oraz chytrość i w sofizmatach przebiegłość. Téj ostatniéj broni najczęściéj używają pisma ministeryalne, których położenie w porównaniu z innemi niezawisłemi Żurnalami prawdziwie jest krytyczne, ponieważ redaktorowie sami rzadko o słuszności swych twierdzeń przekonani, prócz tego na tyle rozmaitych stron, to w górę, to na dół, to na przód, to w tył oglądać się muszą, iż przy takowych względach i rozględach, rzadko im się kiedy uda powiedzieć coś trafnego i dowcipnego. Wstępnéj i niepohamowanéj napaści oppozycyi nic innego nie mogą naprzeciw stawić, jak oświadczenia, homilie i pobożne exklamacye; ale i tu rozwijają zwykle niepospolity talent, mianowicie w sztuce mydlenia oczu najpozorniejszemi sofizmatami.

W polemice francuzkich dzienników zasługuje szczególniéj na uwagę ów ton delikatny i wykwintny, jakim najuszczypliwsze ucinki, najohydniejsze obelgi pokrywać umieją. W téj galanteryi żaden naród Francuzom niesprosta. Otwartość angielska, niezgrabność niemiecka, przechodzi najczęściéj w gminne grubijaństwo, gdy przeciwnie Francuz, miotając największe kalumnie, grzecznym być umie. Jestto bowiem wrodzony przymiot temu narodowi, jakżeby więc pisma publiczne miały być pozbawione tych dziedzicznych zalet?

Ci, co się skarżą na ubóstwo francuzkiego języka, niechaj się dobrze przypatrzą prozie w Żurnalach, a prze-

*) O żurnalach mniejszych mówiliśmy w Nr. 27.

konają się dostatecznie, że Francuz równie jasno i dobitnie, a może daleko zręczniéj, o każdym przedmiocie wyrazić się umie, jak którykolwiek inny naród. Moraliści utrzymują, że tego tylko za bogatego uważać należy, kto swych bogactw używać umie; że nie posiadający téj sztuki przy największych skarbach jest ubogi. Stósując to do języka, pewni jesteśmy, że obrotny Francuz prędzéj i zgrabniéj myśli swoje w powabną szatę ubierze, niż głęboko myślący Niemiec, który w bogatym skarbcu swéj obfitéj mowy długo będzie trafnego dobierał wyrazu.

Żaden polityczny Żurnal nie jest poświęcony wyłącznie saméj tylko polityce, owszem chciwie one pochwytują wszystko, cokolwiek całą społeczność albo przynajmniéj całe klassy ludzi zajmować może. Rolnictwo, handel, rękodzieła, przemysł, sztuki, nauki, literatura są zwyczajne oprócz polityki przedmioty. Ostatnie umieszczają się w Feuilletonach lub rozmaitościach, pospolicie przez najznakomitszych literatów obrabianych. Lecz ponieważ się przekonano, że i najsławniejsi pisarze nie zawsze z natchnieniem piszą, uznały niektóre redakcye za rzecz pożyteczną, otworzyć dla Feuilletonów konkurrencyą, na któréj młodzi literaci najlepiéj wychodzą: tym sposobem wyzwoliły się dzienniki z jednostajnéj grymaśnéj krytyki zarozumiałych Arystarchów. Do najlepszych Żurnali piszą Feuilletony mężowie w swym przedmiocie najbieglejsi, często atoli rzucają się do téj pracy młodzi dyletanci, którzy nie obrawszy sobie żadnego powołania, piszą o wszystkiem, co im tylko do ręki wpadnie, dziś o wystawie obrazów, jutro o boskiéj śpiewaczce, po jutrze o snycerstwie, romansie etc. Najpocieszniejsze też są Feuilletony tych uniwersalnych geniuszów. Wyszukane i awanturnicze zwroty, myśli szumne, nadęte, pryskające swą pijaną aż pod obłoki, dowcipy naciągane, niedorzeczne kalembury świadczą najlepiéj o ubóstwie myśli silącego się autora, któremu niekiedy piątéj klapki brakować się zdaje. Co się więc tyczy gruntowności naukowych artykułów, niemieccy uczeni mają przed francuzkiemi pierwszeństwo, albowiem są to pospolicie ludzie głęboką w swym przedmiocie posiadający naukę. Z tem wszystkiem jasność niemieckich krytyk zwykle w odwrotnym jest stósunku z ich uczonością. Nadto język filozoficznemi wyrazami nastrzępiony, któremi się zwyczajnie najnowsza szkoła popisuje, utrudza niezmiernie pojęcie nieobeznanego z niemi czytelnika; a gdy go się tenże przecie z czasem nauczył, wtenczas mu się na nic nie przyda, bo już inne nowsze miejsce ich zajęły. Francuzki język jest dla wszystkich równie zrozumiały, i pod piórem Francuza wystarcza do wyłożenia każdego przedmiotu.

Charakteryzujące są nareszcie w paryzkich Żurnalach doniesienia. Obwieszczają one nietylko, że to a to można tam a tam dostać; ale oraz czynią to w tak ujmujący, nęcący sposób, że każdemu czytelnikowi, jak to mówią, ślinka idzie do gęby. W przechwalnych wyrazach trudno posunąć się daléj, jak się w takowych obwieszczeniach doczytać można. Znajdują się osobne biόra, gdzie się wszelkie zalecające doniesienia na obstalunek fabrykują. Cała ich doskonałość na tem polega, aby zbytnią interesowność handlerza dowcipnem jakiem poleceniem okrasiły i jakimkolwiek sposobem śmiesznym czy poważnym uwagę czytających zwróciły na siebie.

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Elegia do ***.

Czaruje mnie wdzięk mowy w nadobnéj kobiecie,
  Jakiś żar w serce leją usta koralowe;
Lecz ciebie ukochałem nad wszystko na świecie,
  Boś ojczystą nad inne polubiła mowę.

Lubić mowę ojczystą? — dziwna to jest cnota!
  Któréj umysł poczciwy niełatwo zrozumie
Nigdy orzeł jaskółczéj pieśni nieszczebiota,
  Ani palma podrzeźniać szum dąbrowy umie.

Każda gwiazda na niebie swoim blaskiem płonie;
  Każde ptasze — kwiat każdy pod niebios budową
Ma swój język — swe pienia — swój kolor — swe wonie;
  Polki! a wy rodzinną wzgardziłyście mową.

Powiedźcie nam dziewice wysokiego rodu!
  Których umysł górować winien nad innemi;
Czemu wy nad woń róży własnego ogrodu,
  Przenosicie mdły zapach kwiatów obcéj ziemi?

Wszak narzecze słowiańskie pozorem nie kłamie;
  W każdym dzwięku myśl cała i ognista drzemie,
Jak gościnność w ich sercu — jak w boju ich ramie;
  A tak rzewna i tęschna, jak całe to plemie.

Powiedźcie — lub uwierzcie! a wdzięki waszemi
  Obudzicie proroki z piorunnémi słowy;
A hymny ich usłyszą ludy wszystkiéj ziemi,
  I powiedzą: »zaiste uczmy się téj mowy!«

O matki! gdy jedyne śmierć wam wydrze dziecie,
  A boleść szponą ściśnie, a łzy w oczach staną;
Powiedźcie! co wy wtenczas nieszczęsne robicie,
  Aby z serca wypłakać stratę ukochaną.

Przecież, między znanemi mało wam księgami
  Jest jedna, co i rozpacz najdzikszą utuli;
Księga — rodzicielskiemi zapisana łzami;
  Matki! znacie wy żale ojca po Urszuli? . . .

Płaczemy nad leżącą w ruinach budową,
Na którą w gniewie swoim dmuchnął Pan Syonu;
A z sercem rozdwojoném — z pomieszaną mową,
Chcielibyśmy podźwignąć — wieżą Babilonu!

Nauczajcież, choć tyle wielkich ojców syna,
Aby po śmierci znalazł odpowiedź gotową,
Gdy nań krzykną przodkowie — jak Bóg na Kaina:
»Nieszczęsny! coś ty zrobił z ojców twoich mową?«

O! miéjmy choć raz litość nad sobą samemi;
Kiedy w nas niebo karze zardzewiałe grzechy,
Niedeptajmy z pogardą nogami własnemi,
W wielkich Zygmuntów suknią ubranéj pociechy.

Bo widzicie — i nasi błądzili przodkowie;
Byli nadto szlachetni — żyli za poczciwie;
A ścigając Rzymiany w radzie — w boju — w mowie,
Zapomnieli że kwiaty więdną na ich niwie.

Lecz czasy były inne — czas zmazuje winy;
Dla nich grody złociste rozwierały bramy,
Oni kordem pisali bohaterskie czyny,
Oni byli Rzymianie! — a my ... a my ... a my!

Ty płaczesz, moja luba! ... weż twą arfę skoro,
Niech jęknie jak sierota po macierzy zgonie;
Zanuć mi — o rycerzu ległym pod Cecorą,
Bo i w mém gorycz wspomnień rozewrzała łonie.

J. N. J.

Ułamek historyczny z r. 1376.

(Z odkładki staréj książki.)

— — — — — — Tymczasem na zamku krakowskim brzmiała muzyka dzień po dzień. — Królowa Elżbieta po powrocie z Węgier mało bacząc na to, że kraj cierpiał zniszczenie i pożogi Krzyżaków, którzy Inflanty pustoszyli, — i na domowe niezgody; wyprawiała tańce i rozliczne gry i zabawy. A czasby już jéj było uciech światowych poprzestać, bo ni wiek, ni gładkość lica nie były po temu. Ośmdziesiątoletnia biesiadnica zawsze strojna i otoczona paniątkami węgierskiemi, których z sobą do Polski na naszę biedę nawiozła, nic nieradziła gwoli potrzebom kraju. Ani pomna na pamięć zmarłego brata Kazimierza, bardziéj sprzyjając Węgrom niźli Polakom, rozpościerała swoje niewieście rządy, i ludzi godnych i wielce zasłużonych oddalała z urzędów, a miejsca ich swojemi zausznikami lub niedoświadczoną młodzieżą obsadzała. Nie pierwszy i nie jeden z szlachty Przedzisław Gołuchowski, wojewoda Kaliski, popadł w niełaskę dumnéj niewiasty, a był to mąż zacny z urodzenia i z wysokości umysłu z urzędów Wielko-Polskich. Za jéj rozkazaniem zrzucony na starostwo zaś Otton Pilecki wyniesiony. Łotrostwa i różne zbrodnie trapiły Polskę na ówczas, którym nie podołał nowy starosta; bo nie w smak było Wielko-Polanom, że starostwo nie z prawa mu należnie otrzymał. Dla tego wichrzyli spokojność publiczną, czem zrażony Pilecki, jak przystało na człowieka godnego i szlachetnego, złożył dobrowolnie urząd, a na jego miejsce Sędziwoj Szubiński, szlachcic Wielko-Polski był obrany. Król Ludwik siedział na swojéj stolicy Węgierskiéj, nietroszcząc się bynajmniéj o to, co się działo w Polsce, a królowa Elżbieta rządziła w niéj, żal się Boże, jak szara gęś po niebie. Węgrowie, których nawiozła dziwne psoty i nierządy wyprawiali, uciemiężając chłopstwo do ojcowskiéj Kazimierza Wielkiego prawicy nawykłe. Rozliczne klęski przytem zlały się były na kraj w tym roku, morowa zaraza wyludniała wsie i miasta, pożary i rozboje nieustawały; zdało się, że Bóg gniewne oblicze odwrócił od téj ziemi, od prawowiernych dzieci, a jeno chyba za cudze grzechy — téj tam węgierskiéj niewiasty. Ale od morowéj zarazy i rozbojów swoich nieznośniejszemi były gwałtowności przez Węgrów wyrządzane. Kipiała nienawiść i ledwo niecodzień odgrażała się szlachta, często nawet samowtór starł się Polak z Węgrem w zaułku, przecież jeszcze otwarcie nie huknęli na siebie, jeno zdala warczeli złośliwie. Lecz, póty w dzbanie woda póki ucha staje, tak się też przebrała miarka bezprawiów węgierskich.

Trafiło się, że Przedbórz Brzeziński szlachetnego rodu młodzieniec, dorodny i odważny, miał sprawę z jednym z owych Węgrów bawiących na dworze królowéj, pokłóciwszy się z nim przy dzbanie miodu. A już i dawniéj mieli do siebie urazę i krzywo na się patrzyli, o pewną białogłowę, którą miłował Brzeziński, a do któréj cholewki smalił i ów Węgier. Niepodobały się Brzezińskiemu przechwałki Węgra, który szarpał sławę narodu i szlachtę polską za mało ważył, mówiąc, że polski szlachcic nie wart węgierskiego Jobaga.*) Od słowa do słowa przyszło i do szabli, a chociaż to i u Węgra nienowina złożyć się szablą i rąbać, jak należy, przecież Polak miał nad nim przewagę, i tak go płatnął po za ucho, iż mu się zwady odechciało. Odszedł więc, klnąc po swojemu postanowiwszy pomścić się zniewagi publicznie mu wyrządzonéj, ale na wielką biedę wyszła ta pomsta Węgrom.

Mieli oni ten łotrowski obyczaj, że chłopów jadących na targi z sianem, drzewem lub zbożem napastowali po drodze i odbierali im wszystko, bijąc i katując, tak, że już miary tym gwałtom niebyło, a nikt niemógł

*) W Węgrzech wyraz ten miał rozmaite znaczenie, i do różnych klass ludzi przystósować się dawał, oznaczał jednak w ogóle człowieka nie będącego niewolnikiem. Jobagami byli żołnierze, szlachta, urzędnicy, baronowie i t. d. U nas w Polsce kmiecie nazwani byli **J o v a g i o n e s** w przywileju **Króla Ludwika.**

znaleść sprawiedliwości, bo choć który z owych obdartych chłopków szedł na skargę do Jaśka Kmity, starosty zamkowego, to go straż z Węgrów po większéj części złożona puszczać niechciała, odpędzając jako bydlę. A więc ów Brzeziński obawiając się podobnego gwałtu, koło domu swego przy bramie Kazimierskiéj położonego czeladź zbrojną pozasadzał, z przykazem odparcia napaści, rychłoli Węgrowie jadące wozy ze zbożem szarpać poczną. Niemiał na myśli co innego, tylko ochronić od szkody swoje wozy, gdy tymczasem rzeczy inny obrót wzięły i z małych, jako z iskry do pożaru, do wielkich przyszło rzeczy. Jak skoro tedy Węgrowie obaczyli długi szereg wozów ładownych, (a wiedzieli, czyjeby były, bo ów co miał sprawę z Brzezińskim podżegał ich do zemsty), tak zaraz oblizali się na piękną zdobycz i wypadli w kilkunastu, owo jak rabusie bijąc chłopków i zabierając owies worami. — W tym wypadła i czeladź Brzezińskiego, a widząc taki rabunek, gwałt gwałtem odeprzeć usiłowała. A jak to bywa w podobnych okazyach, zaczęło się od szkalowań i klątew, a skończyło się na krwie. Lud też ciekawy zwabiony tumultem zaczął się zbiegać, a poznawszy, o co idzie, że to nasi Wągrów biją, dalejże na nich. Przyszło tedy do walki porządnéj, z jednéj strony coraz więcéj napływało pospólstwa, z drugiéj Węgrowie też swoich z miasta przywoływali.

Gdy się to działo na ulicy, królowa właśnie zabawiała się w zamku, niewiedząc o niczem, i jak zwykle siedząc przy stole, kazała grać hucznéj muzyce i rozmawiała z swojemi ulubieńcami i fraucymerem. W tym wpada pokojowiec, mówiąc, że w mieście Polacy Węgrów zabijają. Porwała się Elżbieta od stołu i niewiedziała w pierwszem zlęknieniu, co począć, boć strach największy, kiedy z nienacka za kark uchwyci; a tu już wrzawa i krzyki dolatują do zamku i na gwałt we dzwony uderzono. Więc rozpuściwszy biesiadniki, kazała panu staroście biedz co prędzéj dla uśmierzenia rozruchu.

Zjechał tedy niezwłócząc Kmita na miejsce, ale nie czas już było perorować i rozjuszony gmin do spokojności nakłaniać. Rzucił się w ten tłum starosta, prosząc i grożąc, gdy w tym strzała Węgrzyna ugrzęzła mu w krtani. Buchnęła krew gębą i nosem i ów zacny mąż padł ofiarą medyatorstwa, i sprawdziło się owo przysłowie, że gdzie się dwóch za łby wodzą, tam trzeci głowę traci. — Teraz dopiero rzucili się Polacy zaciekle, mszcząc się śmierci starosty. Formalna zaczęła się rzeź po całem mieście, krew lała się strumieniem, i dopiero zacięta bójka ustała, kiedy już Węgrów niestało, których sto sześćdziesiąt głów na placu poległo. Owego, co dał początek wszystkiemu, nigdzie znaleść niemożna było, snać zmiarkowawszy, co się święci, umknął zawczasu, lękając się dać gardła, jak drudzy. Ukryła go zaś była owa, o którą się z Brzezińskim poróżnił, podobając sobie bardziéj, (wedle przewrotnéj natury niewieściéj,) w obcym żołnierzu, aniżeli w polskim szlachcicu.

Wielce zmartwiona i wylękła Elżbieta kazała zamknąć zamek i tak przez trzy dni był zawarty; bo lud ośmielony powodzeniem i oburzony śmiercią Kmity zaczął się skupiać około zamku i w oblężeniu go trzymać. I byłoby może do czego większego przyszło, ale królowa chcąc uspokoić rozdąsanych i utulić żal Piotra Kmity, syna zamordowanego starosty, starostwo Łęczyckie mu dała. Tak to rządy białogłowskie nigdy na dobre niewyjdą, bo kogo Pan Bóg przeznaczył do kądzieli, temu nie berło piastować, jeno siedzieć przy krosnach i patrzeć swego, w sprawy męzkie się nie wdawać, a cóż dopiero rwać się do rządów. Więc Elżbieta narobiwszy sobie i swoim biedy, tegoż roku odjachała do Węgier, sprzykrzywszy sobie regencyą. A jak to mówią: »gdzie djabeł nieporadzi, tam starą babę nasadzi,« tak i u nas było jako tako, gdy tylko sam djabeł kusił do złego, ale jak nam nasłał babę, to już złemu niebyło miary, aż się przecie Bóg ulitował nad nami i skarał hardą niewiastę i jéj drabów.

E. W.

Czerwona sukienka.

(Dalszy ciąg.)

Właśnie zawołano na muzykę: walca! — tarzam, roztrącam ludzi, wywróciłem parę krzeseł, zaczepiałem o garnirowania sukien panien, które na pół powstawały, sądząc, że je myślę prosić do tańca. — Przychodzę przed czerwoną sukienkę, proszę do walca, ona wstaje, biorę ją za rękę i wprowadzam w koło tanów, — ani widziałem, ani słyszałem, co się w koło mnie działo, utopiłem wzrok w moję tanecznicę; jakie piękne szafirowe oko, błyskało nie ziemską, ale niebiańską słodyczą, ciemna brew mszyła się jak aksamit, a rzęsa, jak osłona dziewiczéj wstydliwości spadała na nagą piękność oka, blady rumieniec pociągał się po białem licu, uśmiechała się urokiem wdzięku, kibić, plecy, szyja, ręka, noga cudne były, włos jak len złotawy, łśniący się, kędziorami spadał i pieścił gładką twarzyczkę, — to był anioł, pamiętam, jak gdybym dziś ją widział, tę czerwoną sukienkę, i każdą białą wstążkę jéj garnirowania, i białą kryzę u piersi, i grzebyki we włosach. — Pamiętam każdy włos jéj kędziorów, i pomnę o tem wszystkiem, jak o jedynéj rozkoszy mojego serca. — W walcu oko w oko jéj patrzyłem, mojemi ustami chwytałem jéj oddech, moją ręką czułem bicie jéj serca; w pół ujmowałem jéj kibić, jéj suknia muskała moje kolana, a malutka stopka,

jakby polatywała nad moją nogą — patrzyłem na rozkrasniający rumieniec, na wznoszącą się i opadającą pierś; wiotka jak gałązka wierzby, lekka jak puch, obracając się, ani czułem jéj na mojem ramieniu; zdało mi się, że kołuję po niebieskiem sklepieniu, z aniołem, albo z czarodziejską wietrznicą, — a brzmienia muzyki zdawały się memu uchu, śpiewem harmonijnym niebiańskich istot; — oh! tak walcować chciałbym całe życie—wieki. — Muzyka ucichła, taniec się skończył, a ja jeszcze moję tancznicę miałem przed wzrokiem myśli, i myślą z nią walcowałem. — Z tego miłego snu obudził mnie baron: »Mój drogi, twój ojciec mało ze wstydu nieumarł, powiedziałem staremu, że tak modnie — uwierzył, — i teraz wszystkiem opowiada dziwne zwyczaje teraźniejszéj mody.« Podziękowałem baronowi, uścisnąłem mu rękę tą razą szczerze, serdecznie i pobiegłem zamówić do mazurka czerwoną sukienkę, bo niewiedziałem, jak się nazywa, ledwiem zdołał uprzedzić kilkunastu młodzieży, biegnącéj z tą samą prożbą. Czerwona sukienka nagle weszła w modę, młodzież mówiła między sobą: »Młody Jazłowiecki, kawaler maltański, niedawno przybyły z zagranicy, tańcował z nią pierwszą.« — »Stary Jazłowiecki i baron powtarzają, że to modnie, — — tańcujmy z nią, bo to modnie, z resztą przystojna dziewczyna;« — »Co ty powiadasz, przystojna, wykończenie piękna — a jaka zgrabna — — a jak zna świat — — ojciec jéj to był człowiek zasłużony ojczyznie — — powiadają, że ma bogatego stryja bezżennego w Warszawie; — — O ho! pani hrabina wie, z jakich osób składać swoje towarzystwo.« — Kobiety i panny może w duszy mnie klęły, ale żadna nieśmiała ani twarzą, ani słowem tego okazać, bo to było modnie; z cicha do siebie szeptały, to dziwna taka moda, a każda pragnęła doczekać się kolei takiéj mody i dla siebie. — W mazurku rozmawiałem z nią, w rozmowie co skromności, co dobroci, co niewinnego dowcipu i szczerego uczucia! powtarzam jeszcze raz, to był anioł, nie ziemska istota. Siła pociągu w słowach i uśmiechu, nic przesady, tak iż byłem z nią, jak z dawną znajomą: pragnąłem jednak, a nieśmiałem zapytać o jéj nazwisko i gdzie mieszka, obawiałem się, aby jéj tem przykrości niezrobić, bo rozmowa młodzieży, słyszana przed walcem, tkwiła mi w uszach. — Po mazurku od jednego z dobrze mi znajomych sąsiadów dowiedziałem się, że się nazywa Paulina Zagórska, córka chorążyny Zagórskiéj, owdowiałéj po mężu, zmarłym przed kilku laty z ran odniesionych pod Szczekocinami, mieszka w Jampolu, gdzie jéj matka posiada dworek, trzech chłopów poddanych, i kilka włók ziemi całego majątku — rodzeństwo składało się z niéj, ze starszéj siostry ciągle choréj, i z brata służącego w polskich legionach. Ojciec jéj, pan chorąży Zagórski, służył w konfederacyi barskiéj, i w wojsku Tadeusza Kościuszki razem z nieboszczykiem Dieduszyckim; dla tego pani Dieduszycka była niejako opiekunką téj niezamożnéj rodziny. — Po tem dowiedzeniu się przedstawiłem się pani chorążynie Zagórskiéj i prosiłem o pozwolenie złożenia mego uszanowania w jéj domu. Chorążyna odpowiedziała bardzo grzecznie na moje żądanie, dostrzegłem jednak na jéj twarzy, że obok wdzięczności za pochlebienie macierzyńskiéj dumie, przez moje postępowanie z jéj córką, usiadła obawa, czy te wszystkie grzeczności młodego panicza, według mniemania uboższéj szlachty, zepsutych obyczajów, bo wracającego z zagranicy, nie są sidłami na zgubienie ubogiéj a cnotliwéj dziewczyny. Przez resztę tańcującéj nocy nie dobrze mi było, kiedy Paulina z kim innym tańcowała, smutek mi ogarnywał serce, gdym widział, że ręka pięknéj tancznicy nie w mojéj ręce, a po raz pierwszy złość mnie porywała na zuchwałego tancznika, co się poważył z nią tańczyć, — ale znowu smutek i złość przemijały, kiedy przyszła na mnie koléj tańcowania z Pauliną — byłem szczęśliwy i wesół. — W chwili rozjeżdżania się ja wyprowadziłem do powozu Paulinę i jéj matkę, otulałem nogi Pauliny, błagałem, aby się osłaniała od rannego wiatru, taki byłem troskliwy, jakby ona już do mnie należała — po stokroć razy ją żegnałem, i długo a długo wzrokiem goniłem, za skromną bryczką o dwóch resorach, ciągniętą trzema końmi mierzynami — bo w téj bryczce znachodziła się czarodziejka, która się objawiła wzrokowi moich oczów, wzrokowi mojéj duszy.

Powiedzieć wam, jakie uczucie na mnie sprawił widok Pauliny, na to by mi słów zabrakło: miałem wówczas ośmnasty rok, wyobraźnią rozognioną zapałem młodocianéj duszy, i serce potrzebujące kochać i być kochanem; — od tego wieczora pokochałem Paulinę, jak nigdy człowiek więcéj kochać niemoże, — o niéj śniłem w nocy, o niéj marzyłem we dnie; — żarty barona, uszczypliwe słowa siostry, i milczenie często nawet ponure ojca, tą razą niestudziły mojego zapału, ale rozzarzały uczucia serca. — Po kilku dniach pojechałem do Jampola, ma się rozumieć wprost do pani chorążyny. — Serce mi mocno biło, kiedym wjeżdżał do miasta, a kiedym się zbliżał do skromnego dworku, zarazem mi się zrobiło i słodko i trwożliwie, i tęskno i lubo — niepamiętam, com mówił wszedłszy, wiem tylko, że nie to, com sobie układał mówić przez ciąg mojéj drogi. Chorążyna mnie przyjęła grzecznie, ale z powagą, nie z tą skwapliwością matek, mających córki na wydaniu. — W domu było skromnie, niebogato, ale wszystko przybrane z smakiem i nadzwyczajnie chędogo. — W krótce

nadeszła Paulina w płocienkowéj sukience, ozdobna żywym rumieńcem i błyszczącem okiem, taka była piękna wtenczas, jak na uroczystości u hrabiny, a może i piękniejszą — bo moje oczy, co chwila nowe wdzięki w niéj odkrywały; w pierwszym momencie jakaś nieśmiałość plątała się po naszéj rozmowie, ale w krótce znikła, jak te białawe mgły wiosny, przed złotem obliczem słońca, które się coraz wyżéj a wyżéj posuwa — rozmawialiśmy nie tak, jak z owemi modnemi paniami, co się to mówi o wszystkiem a o niczem: rozmowa z Pauliną od niczego przyszła do wielu rzeczy; jaki nieprzebrany skarb poezyi uczuć w jéj duszy! Oh! jakże mi błogo przeszedł ten dzień: od dziecinnych lat, od śmierci matki niezapamiętałem takiego dnia szczęścia. Wszystko tam było dobre, czarowne, piękne, bo Paulina tam była; — przyjechałem zakochany — a rozkochany odjechałem.

Nowe życie się dla mnie zaczęło, raj miłości przedemną się otworzył; — ja kochałem, a Paulina tylko grzeczną była dla mnie, — i ta niepewność, czy jestem kochanym, zdwajała moje zabiegi, hartowała wolę, i niejako wyswabadzała mnie z pod szatańskiéj władzy barona. Jeździłem ciągle do Jampolu, ojciec mnie ani pytał, co robię, tylko zajmował się przyszłym zamęściem mojéj siostry z baronem, i wyprawieniem mnie do Petersburga, po urzędy, a jak on myślał, po żonę. Nie będę wam opowiadał tych wszystkich drobnostek miłości, potężny wagi w oczach kochających się, ale śmiesznych dla tych, co na nie patrzą, i dla tych, co o nich słuchają. — Paulina do piękności ciała łączyła piękność duszy, była jedyną podporą staréj matki, pociechą i opiekuńczym aniołem słabéj swojéj siostry Heleny; sługi ją miłowali, a ubodzy jéj błogosławili. Słodka, pobożna, dobroczynna; ciągle powtarzałem w myśli: taka była moja matka; milion milionów razy ucałowałem jéj ręce, milion milionów razy powiedziałem, że ją kocham, uwielbiam, ubóstwiam, — nimem niejako gwałtem wydobył z jéj ust: »i ja ciebie kocham!« oh, wtenczas szczęście moje było nie do pojęcia, nie do zrozumienia; niewiem, czy może takiego szczęścia doznawać błogosławiona dusza w niebie; — dłonią swoją z lekka ścisnęła moję rękę: lubo, rozkosznie mi było — wówczas przysięgliśmy sobie przed Bogiem, przed cieniami jéj ojca i mojéj matki, wieczną miłość, wieczną wierność. Od tego dnia świat był dla mnie takim pięknym, ludzie tacy dobrzy, bo wszystko, na com patrzył, złociła miłość Pauliny; chciałbym był oburęcz siać szczęście między ludzi i wszystkie twory — a jednak i moje szczęście nie długo trwało.

Niezapomniałem jeszcze, był to dzień Październikowy, za dwa dni miało być wesele mojéj siostry z baronem; z rana chłodny wiatr dął od północy, wziąłem burkę na siebie, siadłem na koń, a niemając innego towarzysza tylko płowego charta Dolota, puściłem się do Jampola; przez całą drogę czarne kruki ponademną się pławiły, koń, choć rączy i pewny w nogach, kilka razy utknął i nierwał się do biegu, jak to było jego zwyczajem. Zastałem tylko samę chorążynę, pytam, gdzie jest Paulina? ona mi odpowiada, że wyjechała na kilka dni z domu, — a po krótkiéj chwili rzekła: »Panie Jazłowiecki! Pan wiesz, że mu sprzyjam, i po moich dzieciach pewnie nad Pana lepiéj nikomu nieżyczę; nie urodzenie, bo mój mąż był równie szlachcicem — ale majątek i dzisiejsze znaczenie pańskiego rodu położyły nieprzełamaną tamę, między nim a moją córką. Ojciec pański nie pozwoli nigdy na ten związek; wiem o tem, że się kochacie, ale trzeba przerwać tę miłość. Pan znajdziesz pociechę w wielkim świecie, a moja córka ulgę żalowi w pełnieniu powinności, względem Boga, względem mnie.« Zerwałem się z miejsca — ojciec mój pozwoli, musi pozwolić! ja będę mężem Pauliny, zięciem Pani. Ona mi nic nieodpowiedziała, ale smutnie się uśmiechnęła, jak lekarz robiący nadzieję umierającemu suchotnikowi. Wracając do domu, po raz pierwszy zastanowiłem się nad trudnością przełamania woli ojca, ale nadziei nietraciłem i jak każdy młody człowiek zakochany, mówiłem jakoś: to będzie.

Szukałem sposobności pomówienia z ojcem, ale nie mogłem jéj znaleść, czyli raczéj nieśmiałem, chociaż miłość Pauliny z dnia na dzień się zwiększała, jednak jeszcze z pewnym rodzajem strachu przychodziło mnie odważyć się na rozmowę z ojcem. Dzień weselny przeszedł dla mnie nudnie. Kilka razy pomyślałem, kiedyż mnie tak ksiądz połączy z Pauliną, a chodząc szybko z jednego w drugi koniec mojéj komnaty, wymówiłem kilka razy jéj imie głośno. Stary Grzegorz w przedpokoju posłyszał to imie, wszedł, podrapał się w głowę, wziął się lewą ręką w boki, posunął prawą nogę naprzód: »Oj prawda, że biedna ta panna Paulina, a taka dobra pani!« — przestraszyłem się: »Grzegorzu, cóż ci jest? co się stało z Pauliną?« — »Panicz temu wszystkiemu winien.« — »Jak to, mów wyraźniéj?« — »Oto ludzie powiadają, że Panicz ją chcesz za kochankę, nie za żonę.« — »Jak to, co to ma znaczyć?« — »Że Panicz niemyśli nigdy z nią się żenić, tylko płacisz pieniądze, aby go kochała.« — Poczerwieniłem się ze złości — jacy to są ludzie, »pokaż mi ich, niech pomorduję tych potwarców!« — »Wieluby trzeba pomordować, tak wszyscy mówią.« — »I ty Grzegorzu pozwalałeś to mówić?« — »Ja mówiłem, że Panicz uczciwy, a panna Paulina taka pobożna i cnotliwa, jak nieboszczka Imość; ale ludzie w to ani

chcą wierzyć, aby bogaty panicz mógł być cnotliwym, a uboga panienka niepoświęciła wszystkiego za pieniądze.« — »Ja się z nią ożenię!« — »Dałby to Pan Bóg, ale niewiem, czy Jegomość pozwoli;« i stary sługa głową kręcił, ruszał ramieniami. — Całą noc się nie rozbierałem, dręczyłem się sam z sobą, układałem w mojéj głowie, jak mam przemówić do ojca, i ułożyłem nadzwyczajnie czułą i przekonywającą przemowę. Dowiedziawszy się, że mój ojciec wstał z łóżka, poszedłem do jego komnaty. Skoro mnie ujrzał bladego ze łzami w oczach, jeszcze w galowym stroju, zatrwożył się: »Tomaszu, co ci jest?« — Ja go pocałowałem w rękę, i zapomniałem ułożonéj przemowy. »Mój drogi ojcze, ja chcę się ożenić.« — »Z kim?« — »Z Pauliną Zagórską.« — Porwał się mój ojciec z krzesła: »Jazłowiecki z Zagórską?!« — gniewem błyskało jego oko, i ten gniew mi wrócił całą odwagę, oparłem się o ścianę: »Jazłowieccy nic lepszego od Zagórskich, ojciec panny Zagórskiéj był szanowanym wszędzie!« — Mój ojciec to bladł, to czerwieniał: »wprzód mnie na katafalku złożysz, nim pozwolę na to małżeństwo!« —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przegląd pism.

Wizerunki i Roztrząsania naukowe. Poczet nowy drugi. I. Wilno 1838.

Tomik ten zawiera: 1) Przedmowa. 2) Katedra wileńska. 3) Przypisy do poprzedzającego artykułu. 4) Jędrzej Śniadecki. 5) Rozmaitości. Zeszyt niniejszy więcéj nas zadowolnił, niż wiele dawniejszych: albowiem zamiast wyciągów często mało zajmujących, z rewiewów francuzkich i angielskich, w poprzednich numerach gęsto napotykanych, znajdujemy tu same prawie rzeczy krajowe, które nas silniéj zajmować mogą, niż pożyczone z zagranicy słabe artykuły. Szczególniéj interessuje opis, lubo prosty, i zbyt architektoniczny i drobiazgowy katedry wileńskiéj. Wszakże wspomnienia tylu sławnych ludzi i czynów ściśle się z historyą téj bazyliki łączące, nadają opisowi urok niewymowny. Jędrzej Śniadecki, jeden z najsławniejszych uczonych naszych, znalazł także w tym numerze Wizerunków swego chwalcę; a lubo nas biografia ta nie ze wszystkiém zaspokoiła, przecież z względu na rzecz samę, umieszczamy ją w piśmie naszém dosłownie:

»Najpiękniejszy zawód życia naukom i cierpiącéj ludzkości poświęconego dosiągł swego kresu. Jędrzej Śniadecki skończył w dniu 29. Kwietnia v. s. r. b. 1838. dni chwalebne i użyteczne społeczeństwu, wśród powszechnego żalu i powszechnego uwielbienia. Piastując różne godności naukowe i nauczycielskie, doktora filozofii i medycyny, professora wysłużonego chemii w b. uniwersytecie wileńskim, akademika i professora zwyczajnego kliniki terapeutycznéj w imperatorskiéj Akademii wileńskiéj, prezesa towarzystwa lekarskiego.

Urodzony dnia 30. Listopada roku 1768. we wsi ojcowskiéj (?) pod miastem Żninem w powiecie Kcyńskim, dawniéj województwa Gnieźnieńskiego, a teraz W. X. Poznańskiego, odbył początkowe nauki w małéj szkole w Trzemesznie. Po śmierci jednak rodziców wzięty pod opiekę braterską do Krakowa, przeszedł cały szereg nauk szkólnych w sześciu klassach tamtejszéj szkoły wydziałowéj: gdzie celując nad wszystkich uczniów bystrością pojęcia i wielkim zapałem do pracy, odebrał w roku 1787. na publicznym popisie, z rąk samego króla Stanisława Augusta medal złoty: *Diligentiae*. Te pierwsze powodzenia w młodocianym wieku, zadziwiające wszystkich i głosem opinii publicznéj stwierdzone, wcześnie zwiastowały dla kraju geniusz, którego tylko zawód nie był jeszcze odgadniony. Zrazu bowiem zaczął się przykładać do nauk matematycznych w starożytnéj akademii Krakowskiéj, gdzie dla nich brat jego starszy część wieku swego już był z taką chwałą poświęcił. Celem jego było usposobienie się na inżyniera i wejście do służby francuzkiéj; ale potém zmieniwszy z własnéj woli pierwiastkowy zamiar, oddał się cały medycynie. Dwa lata przedłużając kurs jéj początkowy w téjże akademii, udał się nakoniec za radą brata swojego i opiekuna sławnéj pamięci Jana Śniadeckiego, do Włoch, gdzie naówczas nauki lekarskie znamienicie kwitnęły. Przez dwa także lata słuchając w Pawii bez przerwy lekcyi najpierwszych wieku swego medyków i fizyków, Jana Piotra Franka, Spalanzani'ego i Wolty, przyjaźń ich zaskarbił, świadectwa najchlubniejsze dla siebie zjednał i stopień doktora (16. Maja 1792. r.) uroczyście otrzymał. Z Włoch udał się potém do Londynu i Edymburga. Tu pod najznakomitszymi w sztuce lekarskiéj mężami, ćwiczył się z nieporównanym zapałem; a jak wprzody we włoskim, tak późniéj w angielskim języku tak się wydoskonalił, że wiele pism czasowych owéj epoki, dowcipem i piórem swém zbogacał, jakby był rodowitym Anglikiem. Mocne przywiązanie do własnéj ziemi i do brata, odwiodło go jedynie od zamiaru puszczenia się do Indyi wschodnich, gdzie za pomocą sławnych medyków Gregory i Monro, tudzież innych przyjaznych Szkotów, uczyniono mu pewną nadzieję prędkiego osiągnienia sławy i znacznéj fortuny. Po tak korzystnie spędzonym czasie w uniwersytecie edymburgskim, pojechał roku 1795. do Wiednia i w tamtejszéj akademii medycznéj głośno wówczas inne niemieckie szkoły przechodzącéj zbiorem sławnych nauczycieli i zakładami, dopełniał przez półtora roku nabytych dotąd z taką pracą wiadomości.

Tak znamienicie usposobionego i w tak wielką naukę zamożnego mistrza, ujrzał napowrót kraj, z którego przed siedmią laty wyszedł młodzieńcem pełnym nadziei. Odrodzona w owéj epoce, z przestarzałych form i nauk szkoła główna litewska, ale znowu przeciwnościami krajowemi znękana, chciała się dźwignąć, przyswajając do grona akademickiego, ludzi świadomych nowego systematu instrukcyi publicznéj w obcych krajach i z talentów zaczynających słynąć. Pierwszym z nich właśnie był Jędrzej Śniadecki. Wezwany do Wilna na professora chemii, otworzył kurs téj nauki w roku 1797. On to z czcigodnym a sędziwym teraz Jundziłłem stali się zawiązkiem grona późniejszego uniwersytetu, do którego wziętości i wzrostu najskuteczniéj się przyłożyli. Niezrównany wdzięk krasomowstwa, połączony z głęboką wiadomością rzeczy, w wykładzie téj nowéj i ciekawéj nauki, zwrócił zrazu powszechną uwagę nie nawykłéj do zajmowania się takiemi rzeczami publiczności. Lecz potém katedra ta, na któréj zasiadł tak znamienity pisarz, z każdym dniem nowéj nabierając wziętości, taki wzniecila zapał i tyle ściągnęła słuchaczy, nie tylko z uczniów uniwersytetu, ale i z pośrodka wszystkich klas ówczesnego towarzystwa: że nie podobnego do owéj epoki, w kraju polskim widzieć się nie dało. O takich talentach i o takiéj sławie wszyscy wiedzą i z ust do ust drugim podają. Lecz iluż ciężkiemi chorobami znękanym, w tym samym przeciągu czasu przyniósł pożądaną pomoc, ilu niemających już nadziei życia wyrwał prawie śmierci? to czują całe rodziny w naszym kraju; czuć i długo pamiętać będą następne ich pokolenia.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Pan Cybulski, ukończywszy chwalebnie nauki na uniwersytecie berlińskim, złożywszy tamże examen na nauczyciela

wyższego, i otrzymawawszy w skutek rozprawy *de bello sullano civili* stopień doktora filozofii, udał się do Pragi końcem obeznania się z językiem i literaturą czeską i z innemi narzeczami slawiańskiemi. Poświęca on się szczególnie historyi i ma zamiar pracowania nad wyjaśnieniem epoki zjawienia się ludów slawiańskich w Europie. — Dajemy tu wyjątek, z listu, pisanego do pewnego szanownego męża, który był łaskaw nam go udzielić:

»Polecony kanonikowi Peszynie, byłem od niego z prawdziwie słowiańską uprzejmością i otwartością przyjęty. Poznałem w nim znakomitego w każdym względzie męża, z którym sama już tylko rozmowa wielką przynosi mi korzyść. Obiecał mi w każdym przypadku być radą i uczynkiem pomocnym.

Kazał mi przychodzić do siebie, kiedy mi tylko czas pozwoli, a wszelką ciekawość moję w rzeczach narodowych Czeskich, będzie się starał, ile możności zaspokoić. Tak np. zwrócił zaraz uwagę moję na starożytne pieśni pobożne czeskie, które tu pod czas adwentu, w kaplicy św. Wojciecha na Hradszynie na roratach śpiewają. Text, jako i muzyka przeszło 500 lat liczą, za Karóla IV. po kościołach czeskich powszechnie zaprowadzone. Od czasów Hussyckich poszły w zapomnienie. Dopiero kanonik Peszyna z pyłu je wygrzebał, na nowo wydał i w życie wprowadził, lat temu trzy. Wiersz w nich czysty, prosty, silny; muzyka tamtym wiekom odpowiednia, tchnie mocą, śmiałością, czasem prawie dziką melodyą. Tak mię ten zabytek starożytności zajmował, że kilka razy o 5téj godzinie rano byłem w Hradszynie umyślnie, żeby się pieśniom tym przysłuchać. Jużem się w Pradze urządził i z pobytu mego tutaj zupełnie jestem zadowolnionym, bo się znajduję przy bogatem zrzódle nauki języków, literatury i historyi slawiańskiéj, a mam za przewodników ludzi, którzy są olbrzymami w pracy i zasługach, jako Szafarzyk, Jungman, Pressl, Hanka i inni, i odpowiadają dziełami swemi wielkości i rozległości slawiańskich pokoleń, nad których przeszłem i przyszłem życiem pracują.«

Praga, dnia 29. Grudnia 1838.

Jenialny Kraszewski pracuje obecnie, jak nam donosi, nad nowem historycznem dziełem: »Litwa za Witolda.« Ktoby do niego niewydane materyały posiadał, proszonyjest, o ich udzielenie lub wskazanie autorowi, albo w prost, albo przez redakcyą tyg. lit. — Oprócz tego ma pan Kraszewski przygotowane do druku dwie nowe powieści: Swiat i poeta (czytaliśmy, jest wyborne!) i Stremulissa, romans historyczny z czasów Zygmunta Augusta we trzech tomikach. — W krótce będzie także ukończone: »Kasztelan i Wojewoda«, powieść z roku 1600.

Z nowszych dzieł polskich, które częścią już w końcu r. 1838, częścią dopiero w r. b. wyjść mają, są ważniejsze: Zaleskiego Bohdana poezye, w sześciu tomach. — Pieśni Janusza, tom drugi i trzeci. — Słowackiego Juliusza: »Poema dramatyczne«, część trzecia trylogii i poezye w Szwajcaryi i Egipcie pisane. — Jastrzębskiego Ludwika »Zbior pamiętników o dawnéj Polsce, tom siódmy; a Wrotnowskiego tom 2gi.

Nasz Czajkowski wyda w krótce nową powieść historyczną z czasów konfederacyi Tyszowieckiéj. — Jego »Kirdżali« wyszedł już z druku, w dwóch tomach.

Dnia 15. b. m. wyjdzie z druku pierwszy tom dzieła: *Dictionaire français-polonais et polonais-français, (edition diament) stereot.* Pierwszy tom obejmuje 1000 stron, na każdéj stronie dwie kolumny.

Znany i z pism swoich, między innemi: »*Mysteres de la vie humaine*«, szanowny Montlosier, umarł w p. m. — Na jego dzieła u nas mało znane zwracamy uwagę czytelników, i zalecamy je.

Oprócz wyżéj wspomnianego nowego dzieła Juliusza Słowackiego wyjdą w krótce trzy nowe poemata tego autora: Mamy nadzieję, iż z pierwszego »Piast Dantyszek herbu Leliwa«, czytelnikom przed wyjściem jego wyjątków będziemy mogli udzielić.

Temps donosi: towarzystwo internacyonalne Paryża, Londynu i Filadelfii, poleciło wybicie medalu na cześć Kościuszki, Washingtona i Lafayette z napisem: bohaterom etc. Wizerunki tych znamienitych mężów rysowane były podług wizerunków i popiersiów najpodobniejszych; a wykonanie caléj pracy przez pp. Rogat i Borel nic do życzenia nie zostawia.

W Krakowie ogłosił pan J. Gł. prospekt na dzieło Franciszka Sapalskiego: *Geometryi wykreślnéj zastósowań siedem.* Pierwszy zeszyt zawierać będzie rys życia Fr. Sapalskiego. Zastósowanie pierwsze: rozmaite zagadnienia geometryczne, tyczące się 1) geometryi teoretycznéj, 2) kala bryłowego z trzech ścian złożonego czyli trygonometryi kulistéj, 3) geometryi praktycznéj. Zastósowanie drugie: Teorya cieniów. Zeszyt ten wyjdzie w pierwszych dniach Stycznia; obejmować będzie 10 arkuszy, dwanaście tablic i trzydzieści dziewięć figur. Cena (6 zlt. 20 gr. za zeszyt), ze względu, że dzieło to znacznego nakładu wymaga, jest dość niska. Za wyjściem drugiego zeszytu podwyższoną zostanie. Zeszyt 2gi wyjdzie w Marcu 1839.; zawierać będzie zastósowanie trzecie: Teoryą obrazów optyki. 3ci zastósowanie czwarte: Perspektywa. 4ty zastósowanie piąte: Kreślenie zegarów słonecznych (kompasów, gnomonika). 5ty zastósowanie 6te: Nauka szańcowania (fortyfikacya). 6ty zastósowanie siódme: Stereometrya właściwa. — Zwracając uwagę na to dzieło czytelników naszych, życzylibyśmy, aby przez liczne podpisy okazali, jak chętnie wspierają każde przedsięwzięcie naukowe.

Korrespondencya prywatna redakcyi.

15. Grudn. Artykuł o zgromadzeniu slawiańskiem z Wrocławiu. Wydrukowanie dla ważnych przyczyn zostało na późniéj odłożone. — 17. od Tess. z Kr. Według życzenia umieszczono. Koszta niewynikają ztąd żadne. — 20. J. J. K. z O. (Albertus). — 22. A. F. z K. Odpowiedz listownie. — 26. od R. S. — 30. O. St. z Dr. — 2. od A. Nic. Podziękowanie za życzenia dla tygod. listownie. — 3 od F. N. z Warszawy wraz z artykułem o Frankistach. Zajmujący ten artykuł w najbliższym numerze będzie umieszczony. — 4. od J. M. z Br. wraz z poezyami. Uwagi listownie. — 4. od An. z Gł. powieść. — 6. od J. B. z K. Serdeczne dzięki za nadesłany artykuł; upraszamy o dalsze wspieranie Tyg. — 8. od St. z Hal. W przyszłym numerze będzie umieszczone; więcéj listownie. — 9. od B. z B. i M. Cz. z P. — O przesłanéj do recenzyi kompozycyi, mowa będzie w najbliższych numerach. Oczekujemy łaskawego odpisu na ostatni list od A.*.*. Numera czy dochodzą regularnie? — 11. Artykuł napisany przeciw Kr. nie może być umieszczony, jako przeciwny zasadom redakcyi. (Na inne listy tu nie wspomniane redakcya częścią odpisała, częścią zadość uczyniła życzeniu autorów.) 12. od J. N. J. (poezye.)

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*